

Teatr Słowackiego w Krakowie wystawił dramat Karola Wojtyły "Brat naszego Boga" w reżyserii Krystyny Skuszanek, w scenografii Anny Sekuły i Grażyny Żubrowskiej, z muzyką Krzysztofa Pendereckiego. Bohater sztuki, Adam, na swój pierwotnie w Adamie Chmielowskim. Wybierający się autor obrazów o tematyce powstańczej i religijnej, porzucił swą sztukę aby oddać się, jako zakonnik brat Albert, służbie najuboższym mieszkańcom Krakowa. Dzieje przemiany artysty w zakonnika są treścią dramatu Wojtyły. Premiera wzbudziła wielkie zainteresowanie. <sup>U</sup>te rozmowy przeprowadzone w antraktach obu przedstawień premierowych przez naszą wysłanniczkę - z reżyserką i dwoma odtwórcami głównej roli.

KRYSTYNA SKUSZANKA:

- Nie zajmuję się recenzowaniem sztuk teatralnych, zwłaszcza w przypadku "Brata naszego Boga" nie miałabym odwagi ocenić tego dramatu: dobry czy nie, podobno mi się czy nie. Należałoby przy takiej ocenie użyć zupełnie innych słów. Z całą pewnością mogę natomiast powiedzieć, że przedstawienie na przedziwny klimat - na scenie i na widowni.

- Pracowałam nad tym dramatem w takiej właśnie atmosferze i ona chyba ze sceny w jakiś sposób emanuje: absolutne skupienie.

- Ponieważ obcuje się ze słowem papieża?

- Ponieważ przede wszystkim taką jakość ma słowo padające ze sceny. Wyrasta treści najważniejsze. I dla postawka i dla intelektualisty.

- Przyznam na tę premierę z uprzedzeniami, nie czytając przedtem sztuki. Dewocyjność w teatrze byłaby dla mnie trudna do zniesienia nawet przy wielkiej admiracji jaką mam dla osoby autora.

- Sztuka nie ma nic z dewocyjności, nie sądzi pani? Obrazuje proces przeobrażenia się człowieka rozdartego między dwiema miłościami, dwoma wołaniami. Podobne rozdarcie istnieje w Konradzie z "Dziadów", a także z "Wyzwolenia".  
Wojtyła rysuje psychiczną drogę człowieka, który chciałby zrozumieć siebie w obliczu Boga, świata, ludzi, który ma poczucie odpowiedzialności za siebie i innych.

- W przerwie słyszałam rozmowę młodych widzów. Mówili że jeśli to - nawet najprościej odczytując - rzecz o powołaniu zakonnym, motywy owego powołania budzą szacunek. Jest to w tej sztuce głęboki, czysty ton, nie mający nawet koniecznego związku z ową religijną scenografią. Istniejący jakby niezależnie, obok niej. Sądzę, że ludzie spragnieni są teraz czystości duchowej, moralnej. Zakazuje im się udzielić się uniknąć tego, by była to czystość ewangeliczna. Jest bardzo ludzka, dlatego nie irytuje i robi wrażenie.

- To nie jest dramat do szybkiej konsumpcji. Myślę,



że będzie wiele osób, które zechcą obejrzeć to przedstawienie powtórnie. Dzieje się na wielu piętach - jednostkowym, społecznym.

- Mniej do mnie przemawia wyświadek społeczny polegający na poświęceniu się ubogim i miłosierdziu, w jakikolwiek sposób miałoby się ono manifestować. Jest natomiast dla mnie ta sztuka propozycją głównie filozoficzną. Stawowi wykładnię pewnej możliwości interpretacji zdarzeń wobec których stawia człowieka nieustannie życie. Adam nie walczy ze zdarzeniami, nie zmienia ich. Przyjmuje na siebie biedę i bezdomność ludzi, dla których porzuca swą sztukę, chce ulżyć ich doli. Podąża w ślad za zdarzeniem, buduje swą drogę wśród zdarzeń z pokory i cierpliwości, interpretuje je po swojemu i przetrwa z nimi. Cwał tu się "gwałtem odciska". Nie znajemy-revolucjonista nie znajduje w Adamie sprzymierzeńca.

- Bolesław Taborski napisał, że jest to dramat myślenia i emocja człowieka, który szuka prawdy o sobie.

- Różne są prawdy o sobie.

- Czynniki to w młocie emocjonalnej, wyświadek, z żarliwością i pasją.

- I dlatego porusza mnie to szukanie do głębi, choć przedmiot poszukiwań, jest dla mnie sprawą hermetyczną i jakby ściśle kościelną. Jest to jeden z najdziwniejszych wieczorów jakie mnie, widzowi, wydarzyły się w teatrze. To była dla Pani rzecz trudna do wystawienia?

- Wydawało mi się, że to ciekawa materia teatralna, choć wszyscy mieli wątpliwości jak to w ogóle można zagrać. Ale nie pomyliłam się. "Brat naszego Boga" ma wszelkie cechy dużego widowiska teatralnego. Pracowałam z dużym napięciem, ale jednocześnie z radosnym odczuciem, że zetknęłam się z czymś bardzo ważnym, także dla mnie osobiście.

- Bardzo trudną rolę Adama powierzyła Pani aktorowi o dwuletnim stażu.

- Jest ogromnie zdolny. Ma w sobie prawdę, czystość, spontaniczność. Drugi odtwórca tej roli dysponuje większym doświadczeniem, jest od dziesięciu lat na scenie. Cieszę się, że oboj tak udanie udźwignęli tę rolę.

JAN FRYCZ

- To Pana pierwsza w życiu wielka rola, jak słyszałam?

- I pierwszy w życiu wywiad.

- Dyrektor Skuszanka powiedział, że może być ona na Pańskiej drodze zawodowej znacząca. Na Pan poczucie sukcesu po tej premierze?

- Nie chciałbym tu mówić o sukcesie. To chyba nie to słowo.

- A jakiego należałoby użyć?



- Robiliśmy ten dramat w służbie jakiejś sprawy, choć to brzmia patetycznie, ale oddaje istotę rzeczy. Pracowaliśmy z ogromną powagą, nie starając się ekspanować siebie, personalnie. Coś z anonimowości, coś z baroku. Widzowie tę powagę podjęli, nawet aplauz po przedstawieniu był jakby wyciszony. Na manifestacja byłaby nie na miejscu.

- Dla bardzo młodego współczesnego człowieka Adam może się jawić jako ktoś w rodzaju nawiedzonego szaleńca. Zamiast robić karierę, rzuca malarstwo żeby poświęcić się Bogu. Czy ta kie postępowanie ma dziś sens?

- Postępowanie zawsze ma sens, jeśli jego przedmiotem są inni ludzie. Grając Adama starałem się uwolnić od anegdoty historycznej, chciałem podkreślić cechy uniwersalne tej postaci.

- Te cechy są Panu osobiście bliskie, przemawiają do Pana? Czy też grał Panikogó dla siebie obcego?

- Ten człowiek jest bezkompromisowy, wymaga wiele od siebie i dlatego ma prawo wymagać od innych. Ma w sobie coś z nawiedzenia. To piękne. Nie jest śliski, jest jasny, ma szyste założenia. Olbrzymaki mógłby go za gród. Ma w sobie coś z Knicica.

- Człowiek z psychicznym żywożem?

- I jednocześnie człowiek, który świadomie wybiera

pewną drogę. Czy sty, głęboki ton. Przychodzą do teatru ludzie  
 zagnani, przybici, niosą z sobą swoje drobne świątewka.  
 I otrzymują coś obywatelskiego. To zawsze jest ludziom potrzebne.  
 Teraz może bardziej niż kiedykolwiek.

- Pan się bał tej roli?

- Gdybym grał Hamleta ludzie porównywali by: trzeba było  
 widzieć jak Hamleta grał aktor XI W tej roli jakby nie podlegam  
 w sryfikacji, nie stanę do konkurencji. Nie muszę niczym ujmowa 6  
 widowni, zdobywać jej, jest całym sercem ze mną - bratem  
 Albertem. Ale bałem się, owszem. Że wniknę oczy na krzyż i  
 będę mówił do Boga. Chciałem patrzeć w oczy ludziom i do nich  
 mówić.

- Jakie to role są dla Pana znaczenie?

- Przekonałem się, że mogę być przydatny w zawodzie,  
 że może nie pomyliłem drzewi, to już bardzo wiele.

### JERZY GRZEK

4 Bał się Pan tej roli?

- Nie.

- A kiedy Pan grał Hamleta?



- Bałam się. To tajemniczy utwór.

- Bohater Wejtyły jest bardziej jednoczesny?

- Nie, na czytelniejsze reakcje. Tamten jest niepewny, uwikłany w sieć.

- Peński Adam z dzisiejszego przedstawienia, jest inny od Adama Jana Frycma. Bardziej wyrazisty, mocniejszy, pełen ekspresji. Przez ponad dwie godziny ta postać musi utrzymać na sobie ciężar przedstawienia. To musi być niebywały wysiłek...

- Nie czuję tego wysiłku. Zaproszony byłem na próbach. Tyle w tym dramacie dzieje się poza sceną, poza wydarzeniami. Szukanie - nie pomijając wszystkich planów - drogi do tego estetycznego, tak fascynującego, było trudne.

- On Pana fascynuje?

- Ogromnie. Każdego, jak sądu.

- Wie Pan, co powiedział katolicki pisarz Waltraud?  
"Zbawienie wieczne durniów nie powinno nam być obojętne".

- Wie pani, co powiedział Chmielowski? "Największym idiotycznym jest zachwyć dla własnej twórczości. Dla siebie także".

- I nad wszystkim, co się tyczy drugiego człowieka powinniśmy się dlatego pochylać z szacunkiem, ze zrozumieniem, pełni tolerancji? Miłosierdzie na przykład nie budzi tego zrozumienia, raczej sprzeciw.

- Miłosierdzie może właśnie oznaczać rozumienie drugiego człowieka.

- Więc to tylko kwestia nazwy?

- Wiele słów w tym dramacie ma inne, niż potocznie znaczenie. Widoczny jest wysiłek autora aby nadać im jasny, czysty sens. Dla nazwania czegoś używa czasem paru, a czasem całego szeregu określeń. Taboraki napisał, że Wojtyła przywraca w swych dramatach wartość słowu, pomniejszoną we współczesnym teatrze.

- Co Pan starał się zaznaczyć w postaci brata Alberta?

- Upór. Decyzywność. Ten człowiek umiał nie zostawić sobie żadnych furtek, jeśli coś robił - to do końca. Robił to przy tym dla innych ludzi. Wstąpił do jezuitów, ale okazało się, że do nich nie pasował. Stworzył więc własny zakon: zmienił formę, nie zmienił drogi.

- W powstaniu styczniowym Chałoski utracił nogę.



Może to wszystko z powodu urazu, kompleksu...

- Ależ on żartował z tej drewnianej nogi, nic to dla niego nie znaczyło. Jeździł konno, na łyżwach...

- Jest Pan zadowolony z tej roli?

- Nie wiem. W przypadku tego zwłaszcza dramatu każde przedstawienie będzie premierą, w zależności od tego jaką będzie widownia.